

665

## TEATR Z WŁASNĄ WIDOWNIĄ

Jelenia Góra przez wiele lat miała własny, tak zwany teatr objazdowy. Nie był to zbyt ambitny teatr, podobny do wielu innych prowincjonalnych teatrów. Potem przybył do tego teatru dyrektor Kozłowski, coś się zaczęło kręcić, pojawiły się jakieś nowe akcenty w życiu artystycznym miasta, był teatr i wokół tego teatru rozdił się nowy ruch artystyczny.

Potem dyrekturę objęła Alina Obidnia, a kierownikiem literackim został Janusz Degler i wcześniej zaczęły ruch nabral nowych obrotów. Teatrowi nie wystarczało samodzielne panowanie na Karkonoszach. Teatr poczuł, że jego kraina jest za ciasna, że trzeba poszerzyć własne władanie, mało tego, teatr potrzebował konfrontacji, zderzenia z innymi racjami teatralnymi, teatr potrzebował głębszego oddechu i szerszej swobody ruchu. Teatr nie bał się spotkania z innymi teatrami, choć przecież nadal wisiła nad nim przeklęta nazwa teatru prowincjonalnego. Tak, taka nazwa nieraz tworzy kom-

pleksy, ale często są to kompleksy, jakby zakodowane w innym organizmie, w innym stylu myślenia, przeniesione z innego obszaru, ale te kompleksy wciąż ożywają, stają się tyranią, niebezpieczeństwem, groźbą dla artystów, którzy pragną się uwolnić od etykiety teatru prowincjonalnego.

Dyrektor Obidnia, świado- ma tych faktów, ale też świado- ma tego, że dobry teatr można robić wszędzie, poczęła robi- jać szablonowy prowincjonalny styl myślenia. Dość tego szeptania, że jesteśmy prowincjonalni, dość tej milczącej zgody na tradycyj- ne i anachroniczne opinie, że poza Warszawą nie można zrobić interesującego teatru. I krok po kroku, nie bez sprzeciwów środowiska, nie bez własnych wątpliwości, nie bez szyderstw i kpin, poczęła konsekwentnie realizować własne plany repertuarowe, organizacyjne i artystyczne.

Powiedziała sobie i innym: owszem, jesteśmy daleko od centrów kultury, ale to nie znaczy, że nie możemy uczestniczyć w prawdziwych zdarzeniach twórczych. Możemy przecież i sami tworzyć teatr, który będzie miał własne oblicze i możemy sprawdzić, jak twarz naszego teatru podoba się innym teatrom. I więcej, możemy trochę porywalizować. Może się uda coś na tym zyskać. Może coś przegramy, ale się także czegoś nauczymy.

A może i inni coś u nas podpa- trzą, coś takiego, czego gdzie indziej nie ma.

I co roku teatr jeleniogórski spraszał do siebie co ciekawsze teatry z kraju. I teatry przyjeżd- dzały. Przybywali tej miary arty- ści sceny, co Hanuszkiewicz, Szajna, Tomaszewski, Hübner, Zaczyk, Zapasiewicz, przyby- wali aktorzy, reżyserzy, sceno- grafowie. Coraz częściej krąży- li w pobliżu krytycy, dzienni- karze. Zjawisko wydawało się wielce podejrzane. Należało je potraktować z dużą nieufno- ścią. Bo jakże to tak! Wygląda na to, że w Jeleniej Górze dzia- la jakaś bliżej niezidentyfiko- wana mafia artystyczna, która coś straszniejszego, a niewiadome- go knuje. Toteż zjeżdżających było coraz więcej. I o dziwo, zamiast wykręcić jakiś spisek antyartystyczny, ludzie zaczęli się dopatrywać wcale zdrowej i niegłupiej roboty.

Co też ta Obidniakowa nie wyrabia?! Nie wystarczy jej to, że wciąż czegoś poszukuje we własnym teatrze, coś spraw- dza, coś bada. Ludzie niby szem- rzą, ale i wiedzą, że to gra nie na żarty. Że coś z tych poszuki- wań wychodzi. Udaają się przedstawienia. Tworzy się scena studyjna. Młodzież, do niedawna onieśmielona, z ochotą dyskutuje, spiera się, czasami buntuje, ale także kontroluje własne reakcje. Te-

atr niczego nie ukrywa. Także nie ukrywa klęsk, porażek, złych spektakli, bo i takie mu- sza być, skoro się wciąż szuka najlepszego modelu dla sztuki. Obidniakowa raz się pomyliła, raz znowu ołśniła, zaskoczyła, zdumiewa. Inie wiadomo w końcu, jaka ona jest naprawdę.

To tu, to tam, pojawiają się głosy, że cała sprawa przere- kłamowana. Właśnie: głosy. Głosy w rodzaju: „ona przesa- dza”, „ona szuka czegoś co jest niewiadome”. Tak, tak. Skąd my to znamy? Wystarczyło, że o Jeleniej Górze poczęto mówić w Krakowie i w Warsza- wie, w Łodzi i w Poznaniu, we Wrocławiu, i co nie do darowa- nia, bo jakże to tak – zaczęto mówić aż za granicą, tylko to wystarczyło, aby już tu i ówdzie rozległ się syk: „ssss, o co tu chodzi”. Mało tego, Obidni- akowej, jak wspominałem, nie wystarczyły poszukiwania naj- lepszych wzorów dla własnego teatru. Jak się rzekło, przez Jelenią Górę co roku defilują teatry renomowane, głośne, wiel- kie. I ten niby prowincjonalny teatr nie lęka się tego natarcia.

Były już w Jeleniej Górze teatry z Warszawy, Łodzi, Krakowa, Wrocławia i z innych miast. Ale to organizatorom nie wystar- cza. Zaczęły przybywać teatry z Europy i z Ameryki. No, a w tym roku także z Japonii. I ludzi pełno. Na każdym spek-

taflu. A potem długie dysputy. Konfrontacje stylów, sensów, form. Konfrontacje gustów, do- brych i złych obyczajów tea- tralnych. Konfrontacje dobrej i złej woli. Bo nie trzeba tego ukrywać, działalność Obidni- akowej nie wszystkim się podoba, ale na całe szczęście, ci co mają dobrze w głowie, a od których zależy, czy Spotkania Jeleniogórskie kontynuować, czy nie, nie dają się zwariować.

Jelenia Góra dopracowała się własnej i to niespokojnej, twórczej widowni. Jelenia Góra rozsmakowała setki i tysiące swoich obywateli w dobrze przyrządzonej potrawie teatralnej. Trzeba było na to lat. Tradycja tak się właśnie tworzy, przez upór i przez rozumne decyzje. U progu jubileuszu Spotkań (10), trzeba powiedzieć, że Teatr im. C. Norwida wychował sobie własną publi- czność, a radosnym faktem jest i to, że na spektakle do Jeleniej Góry jeżdżą się i z Wrocławia.

I w tej sytuacji trzeba albo organizatorów Spotkań pochwalić, pochwalić za to, że coś robią i to coś nabiera rozmachu, albo trzeba wziąć dobrych organizatorów za włosy i ściągnąć w dół, do kotła bezsensu. Kto to zrobi pierwszy? Jakie nadobnie i jakie koczko- dany?